Minghun samnijskich wojowników podążający na wschód coraz bardziej zmniejszał się, gdy kolejni jeźdźcy dołączali do oddziału zmierzającego w stronę lasu dakońskich pik. Uter nie przyglądał się ich twarzom. Pozostał w miejscu z którego dokładnie widział Gambataara, wznoszącego wysoko swój miecz oraz idące za nim na śmierć dzieci stepu. Zastanawiał się gdzie kończył się rozsądek a gdzie zaczynało się tchórzostwo. Ale dokonał wyboru. Powoli skierował konia w stronę odjeżdżających oddziałów. Potem zatrzymał się i raz jeszcze spojrzał za siebie. Zobaczył jak pierwsze szeregi nieuchronnie zbliżają się do morza wergunckich żołnierzy. Na moment zatrzymał wzrok na odjeżdżającym Muraco. Przez chwilę miał wrażenie że widzi obok niego sylwetkę jeszcze jednego jeźdźca. Jeszcze jednego wojownika który tego dnia na zawsze opuści ten świat. Jeszcze jednego syna Wielkiej Samnii który w końcu odetchnie w Krainie Wiecznych Polowań. Uter rozpoznał tę postać. Niegdyś widywał ją, stojącą na uboczu i obserwującą go za każdym razem, gdy zamknął oczy. To był Oteola.

Uter z trudem powstrzymywał się by nie biec. Ale na wzgórzach Arden zginęło tylu członków rady, że teraz każdy pozostały przy życiu był podwójnie odpowiedzialny za losy Samnii, zwłaszcza teraz, gdy kniaź zamknął się w sobie. Więc musiał zachować postawę godną radnego. W końcu udało mu się dotrzeć na szczyt wzgórza, do jurty kniazia. Gdy wszedł zastał radę w komplecie, siedzącego na swym tronie władcę oraz zdyszanego zwiadowcę pośrodku jurty, który natychmiast po ujrzeniu go rozpoczął raport, nie czekając nawet aż zajmie miejsce.

- Wergundowie posuwają się dalej na północny-wschód. Armie I Tymenu pod przywództwem samego Eudomara przekroczyły granice Księstwa i idą w stronę Samarkandy. -

- To koniec, Arden powinno być naszym grobem, odwlekliśmy tylko to co nieuniknione! - odrzekł jeden z wodzów patrząc oskarżającym spojrzeniem to na kniazia to na Utera.

Uter zdążył już zająć swe miejsce. Kniaź nawet się nie poruszył.

- I Tymen to ogromna, i świetnie zorganizowana armia. A Eudomar to niebezpieczny człowiek. To prawda, nie obronimy Księstwa. - dodała Taraini nie odrywając wzroku od kniazia, tak jakby miała nadzieję że ten starzec lada chwila wstanie i poprowadzi samnijczyków w ich ostatnią szarżę.

- Tak... - potwierdził Uter - Nie obronimy Księstwa. Ale nadal możemy coś zrobić. Zbiorę jaghan bądź dwa ochotników. Będziemy jedynie odłamkiem niegdysiejszej armii samnijskiej. Ale będziemy nim w boku wergundów. Dniem i nocą będziemy dręczyć Eudomara i jego psy. Damy wam czas... -

- Czas Uterze? Czas abyśmy co mogli uczynić? Nie mamy już dokąd uciec. Mamy też zbyt mało ludzi by się bronić. - Taraini była silną kobietą, Uter nie sądził ze kiedykolwiek zobaczy w jej oczach to co widział teraz. Zrezygnowała. Ona także się poddała.

Spojrzał błagalnym wzrokiem w stronę kniazia. Ale ten wciąż milczał. Wciąż ani drgnął. Podpierając swą siwą twarz na dłoni, wyglądał jakby spał, snem swych wielkich przodków. Ale przytomne oczy, choć nieruchome wskazywały że wciąż był z nimi. Samnija wciąż istniała. A więc wciąż było co ratować.

- Może jednak jest szansa na ocalenie. - Odezwał się nieśmiałym głosem młody, świeżo wybrany jag-bej Vurunów, który piastował tę funkcję od bardzo niedawna, odkąd stary Batum

podążył za Gambataarem na śmierć. - Itharos wypowiedziała hordom Elmeryka wojnę. Ofir się burzy. Gdybyśmy udali się do Południowego Stepu, blisko granicy z Arethyną, sądzę że Terezjusz Samanita - tu Vurunita wyraźnie ściszył głos tak jakby nie był pewny reakcji złamanego kniazia na imię krewnego - udzieliłby nam ochrony.

- Elmeryk nie zaryzykuje wojny z resztą Ofiru. Gdy Arethyna roztoczy swoją opiekę nad Południowym Stepem, będzie musiał to zaakceptować. - dodała Taraini

- Ale Wielka Samnia upadnie... - podsumował jeden z plemiennych wodzów.

- Nie, tak długo jak żyjemy, Wielka Samnia przetrwa. Ziemie można odbić. Stada odzyskać. A gdy nadejdzie właściwy czas syn jaskółki powróci na step. - Uter spojrzał na kniazia - a my wraz z nim.

- Co zadecydujesz synu jaskółki? - spytała Taraini - jaki będzie los Księstwa?

Kniaź powoli uniósł głowę i wyprostował się. Nie patrzył na nikogo spośród zgromadzonych. Swe zamyślone spojrzenie kierował przez cienkie wejście do jurty, daleko, w step swoich przodków.

- Pojedziemy na południe - odrzekł pozbawionym emocji tonem.

Potem zagłuszył go dźwięk gongu.

Uter wyszedł z jurty i stanął na szczycie wzgórza. Wciągnął powietrze i przez chwilę rozkoszował się zapachem obozowych ognisk. Uwielbiał ten zapach. Potem otworzył oczy rozejrzał się. Wokół było rozbite wiele jurt, tworzących razem coś w rodzaju wielkiego obozowiska. Na północy widać było Samarkandę. Kniaź odmówił wizytacji miasta. W efekcie wielu jej mieszkańców dołączyło do niego na stepie, rozbijając niedaleko własne jurty. Doborowi jeźdźcy, pełniący obecnie funkcję strażników kniazia zaczęli dąć w rogi, niebawem przed Uterem stanie jego ochotniczy jaghan. On także musiał się przygotować, toteż udał się w stronę pasących się nieopodal bachmatów. Odwzajemnił ukłon kilku mijanych aduuchów. Nie do końca przyzwyczaił się jeszcze do swojej nowej pozycji społecznej. Ale podobno z czasem to mija. A on nie miał czasu o tym rozmyślać. Podszedł do swojego bułanego konia i zaczął zakładać mu siodło. Wbrew mitom panującym na południu, samnijczycy stosowali siodła, jak chyba każdy lud znający konie rozumiejąc ich potrzebę, zwłaszcza przy tak dużych odległościach jakie zdarzało im się na końskim grzbiecie pokonywać. Był tym tak pochłonięty że zorientował się że ktoś za nim stoi dopiero gdy usłyszał jego jeszcze młodzieńczy głos

- Radny Seranisie - Uter skrzywił się, uznał że zasłużył sobie by nie tytułowano go już przydomkiem w psiej mowie, więc zamierzał powrócić do samnijskiego zwyczaju tytułowania się nazwiskiem plemiennym - nie możesz jechać. Potrzebujemy cię. Nie możemy pozwolić by kniaź utracił kolejnego wiernego sługę, tak jak utracił swego syna, Ałdaja a także Muraco i Gambataara. Ich śmierć była dla Samnii ciosem. Nie pozwól by zadano jej następny.

Uter odwrócił się by odwzajemnić ukłon, młodego jag-beja Vurunów.

- Nie zamierzam dać się zabić. Jak już powiedziałem wcześniej, tu chodzi o zdobycie czasu. I zadania strat wergundom. Ale nie chodzi tylko o to. Na drodze wergundów stoi wiele wiosek, zamieszkanych obecnie przez ciężarne kobiety i starców. - Uter zmarszczył brwi - Muszę im pomóc.

Pomożemy im zwinąć jurty i uciec przed armią. Tylko tyle możemy zrobić. A potem... dołączymy do was w Południowym Stepie.

- W takim razie zamierzam jechać z Tobą.

Uter uśmiechnął się. Chłopak był odważny. Ale Vurunowie nie mogą stracić kolejnego wodza. A gdy do wrodzonej odwagi, dojdzie po latach doświadczenie, ten chłopak będzie wielkim przywódcą swoich ludzi. Takim jakiego oni, pozbawieni kniazia będą potrzebować.

- Masz obowiązki wobec swoich ludzi, jag-beju. Nie możesz ich zostawić. - Uter spojrzał w dal na zachód, i miał przez chwilę wrażenie że widzi unoszące się tam kłęby dymu. Ale może to po prostu chmury przybrały dziś tak złowrogą postać - A ja obiecuję Ci że nie zawiodę.

Wspiął się na konia. I pożegnawszy beja krótkim skinieniem głowy zaczął jechać w stronę zbierającego się nieopodal konnego jaghanu. Nagle zatrzymał się, bo wyczuł przywiązany do siodła znajomy kształt. Odwiązał go po czym powoli rozchylił palce dłoni, ukazując swoim oczom... ząb Oteoli. Przez chwilę wahał się co z nim uczynić. Był symbolem niespełnionych nadziei i nieosiągniętych celów. Był także symbolem, pamiątką po wszystkich tych którzy oddali swoje życia tam pod Arden. Przypominał czym kraje północy mogły być, jak Samnija mogła dziś wyglądać i jak to wszystko się skończyło.

Ale był także symbolem walki. O wolność. O step. O Samnije

Pod wpływem impulsu zawiesił go sobie na szyi. Nie zapomniał. Nie zawiódł.

On był Uterem Tarhanitą, następcą Oteoli. I nigdy się nie podda.

***

Step.

Był piękny. Sroga zima, przybierała tu najniezwyklejsze ze swych wcieleń. Matka ziemia była po horyzont pokryta białą opoką a gdzieniegdzie w obniżeniach powstały lodowe zwierciadła, w których odbijał się błękit nieba. W dali było widać tylko kilka zmarzniętych, białych krzewów. Ten biały, hipnotyzujący krajobraz sprawił, że Uter przestał odczuwać chłód, przejmować się wbijającą w bok rękojeścią szabli czy nawet śniegiem odmrażającym mu twarz. Na chwilę przypomniał sobie letnie noce pod bezchmurnym niebem, miękkie wilcze skóry i zimny kumys. Ale po chwili spojrzał w dół, na rozciągającą się przed nim równinę i powrócił myślami do rzeczywistości.

Ogromna zielono-srebrna kolumna posuwała się bardzo powoli. Dakońskie piki i sztandary Pierwszego Tymenu tworzyły swego rodzaju las, którego końca nie było widać zza wzniesienia, za którym ukrywał się samnijski arban. Od piątki leżących nieco niżej samnijczyków doczołgał się ubrany w szare futra zwiadowca. - Radny Tarhanito, ostatni mieszkańcy okolicznych wiosek zostali przeniesieni poza zasięg wergundów - zwrócił się do ubranego w czerwony kaftan samnijskiej arystokracji Utera - Twój jaghan jest w drodze do kła Batu i czeka na dalsze polecenia! - Uter zastanowił się chwilę, po czym dał znak swoim ludziom by cicho zeszli ze wzgórza. Po chwili cały arban jechał już w stronę miejsca spotkania. Kieł Batu był samotną skałą znajdującą się gdzieś w połowie drogi między Samarkandą a górami Silber. Był nie tylko punktem orientacyjnym, ale także miejscem kultu, szamani umieścili na skale totem od którego do ziemi prowadziło wiele lin i linek. Każdy kto miał jakąś troskę, mógł powierzyć ją duchom, zawiązując przy jednej z nich kawałek

materiału. Takich miejsc było wiele w całej Samnii, świętych skał, drzew, totemów czy wzgórz. Napotykanie więc miejsc obwieszonych kolorowymi materiałami było w Księstwie bardzo częste.

Po niedługim czasie arban Utera dotarł do miejsca spotkania. Natychmiast stawił się przed nim jaghan wypoczętych synów stepu, gotowych śladem bohaterów spod Arden szarżować na wroga tak długo, aż przebiją się do Krainy Wiecznych Polowań.

Uter nie musiał wygłaszać przemówień, zresztą nigdy nie był w tym dobry. Każdy spośród setki jego jeźdźców wiedział co muszą teraz zrobić. Niektórzy podążyli za nim tylko z tego powodu. Dał znak stojącemu obok, staremu Oszabowi, ten odwiązał od siodła róg i wydał z niego przeciągły dźwięk. Ruszyli.

Po chwili zrównał się z uzdrowicielem - Jaką przyjmiesz strategie, radny Tarhanito? - Uter spojrzał na starca - Jedyną jaką w tej sytuacji mogę, drogi Oszabie. Będziemy ich dręczyć, tak jak orły dręczą samotnego wilka, próbującego dostać się do ich gniazd wśród wysokich skał. A gdy popełnią jakiś błąd... użyjemy go by ich spowolnić. - Oszab cofnął się na swoim koniu by wziąć od jednego z młodszych wojowników buńczuk plemienia Tarhanitów. To był wielki zaszczyt, i dowód ogromnego zaufania ze strony jag-beja, że pozwolił Uterowi go zabrać.

Po jakimś czasie jadący na przedzie uzdrowiciel, w milczeniu uniósł dłoń. Oszab poprowadził konia tak, by stanąć po prawicy swego dowódcy. Jaghan ponownie ruszył, lecz już dużo wolniej, postronny obserwator byłby zdziwiony jak cicho potrafią poruszać się ci uzbrojeni jeźdźcy i ich niepozorne bachmaty. Zatrzymali się tuż za jednym ze wzgórz. Stary samnijczyk przezornie lekko obniżył buńczuk. Wszyscy na chwilę wstrzymali oddech. Nawet konie nie odważyły się parsknąć. Wtedy usłyszeli. Stłumiony dźwięk rogów, odległe nawoływania i ledwo słyszalny, miarowy dźwięk tysięcy żelaznych butów. Byli tam. Wergundowie. Dokładnie tam, gdzie być powinni.

Uter uniósł łuk a to co wierni ordyńcy zobaczyli w jego oczach, wystarczyło im za wszystkie słowa które mógł w tej chwili wypowiedzieć. Potem wyjechał na szczyt góry a oni za nim. Ich oczom ukazała się jedyna droga w samnii, trakt handlowy łączący Ofir z Tryntem, ułożony przez ludzi Gildii Kupieckiej. Była to szeroka droga, wyłożona kamieniem polnym, ciągnęła się dalej na zachód, gdzie przeradzała się w dużo bardziej cywilizowany trakt, biegnący doliną w górach Silber. Na wschodzie skręcała na południe, zahaczała o okolice Nitry i biegła dalej, do Ofiru. Ale teraz była pokryta grubą warstwą śniegu. Żadne karawany już tędy nie jeździły. W innych okolicznościach Uter uśmiechnąłby się. Gdy stopnieją śniegi, zrozpaczeni wysłannicy gildii zobaczą tylko szczątki drogi, której kamienie zostały rozkradzione przez miejscową ludność. Niezależnie czy byli to szamani, chcący uwolnić matkę ziemię czy koczownicy używający tych kamieni w obozowisku. Ale wergundom, których kolumna brnęła powoli nieświadoma bliskości wroga, zdawało się to nie przeszkadzać. Pierwszy Tymen nie mógł iść inną trasą gdyż tylko na tym trakcie pojawiał się od czasu do czasu most (jeśli roztopy były marne), pozwalający ich ciężkiej konnicy przekroczyć rozlewiska jednej z rzek w centralnej samnii.

Samnijczycy zauważeni przez nielicznych spadli ze stoku niczym lawina rażąc pierwsze szeregi deszczem strzał.

***

- Co się tam dzieje?! - spytał Eudomar, wpatrując się w czoło kolumny i próbując dostrzec coś w rażącej bieli krajobrazu. Zwłaszcza że kierunek ten był pod słońce. - Tubylcy mój panie. - odrzekł jeden z posłów którzy bezustannie krążyli między początkiem a końcem armii. - Nie więcej niż setka

dzikusów zaatakowała czoło kolumny. - Eudomar rozluźnił się i uśmiechnął - Świetnie, pierwszy łup. Przyślijcie mi tu przywódcę magów. - Eudomar nie do końca wiedział kto dowodzi teraz ich magami, odkąd czterech ostatnich zamarzło na śmierć. Postanowił szybko nadrobić to drobne niedopatrzenie. Zawsze szybko się uczył.

***

Uter gnał z zaciśniętymi ustami, miejąc nadzieję że wszystko pójdzie dobrze. Nie mógł sobie pozwolić na utratę zbyt wielu ludzi. Nie za pierwszym zwodem. Śnieg uderzał w jego opatuloną twarz, a chłodne powietrze pchało go z wielką siłą. Wtem z ust Biketan, Kentugan i Wikitan wyrwało się głośne - Yunke-lo! - Hałła! - zawtórowali im Tarhanici, Vurunowie i Yelgerinowie. Uter posłał strzałę. Chybił. Przewiesił szybko łuk i zza jedwabnego pasa wydobył szablę. Dojeżdżał już do pierwszych szeregów dakończyków, którzy kierowali w niego dziesiątki błyszczących, długich pik. Uniósł szablę gotów zbić najbliższe. Już widział nieustraszone oczy swoich przeciwników, łypające spod złowrogich hełmów, gdy w ostatniej chwili wykonał zwrot i zaczął uciekać wraz z resztą samnijczyków. Teraz całkowicie się rozproszyli, każdy z nich starał się jednak dotrzeć na wzgórze zza którego przybyli. Znowu miał w rękach swój łuk i odwrócił się w siodle by posłać kilka specjalnych, drażniących bo wydających przeciągły wysoki dźwięk, strzał w stronę kolumny. Dostrzegł jak spośród nieruchomych wergundzkich magów, stojący nieco dalej w szyku, wyjeżdża niesforny oddział daramońskich jeźdźców. Dakoński dowódca zaczął biec za nimi i machać rękami, ale ci nawet nie zwolnili. Po chwili Uter stracił ich z oczu. Uśmiechnął się. Ci daramonczycy już nie zagrożą jego ojczyźnie. Pokazał jadącemu po prawicy Oszabowi kilka gestów. Ten wyjął jedną ręką swój rożek i wydał z niego kolejny, niemiły dla ucha dźwięk. Wszyscy samnijczycy zwolnili i znacznie zmniejszyli odstępy między sobą. Gdy wyjeżdżali z kolejnego obniżenia na przeciwległym wzgórzu pojawili się daramończycy. Uter odwrócił się i przyjrzał im dokładniej. Nie mogło ich być więcej niż pięćdziesięciu. Oni także ich dostrzegli, i z zadziwiającą jak na lud rzeki szybkością zaczęli zmniejszać dystans między nimi. Byli coraz bliżej, samnijczycy raz po raz odwracali się w siodłach by posłać w stronę wroga kilka strzał. Uter również odwrócił się i wystrzelił w tego spośród prześladowców, którego stalowe elementy pancerza wyraźnie wskazywały na funkcję dowódcy. Cicho syknął z aprobatą gdy zobaczył jak strzała dociera do wroga w okolicach jego lewego ramienia. Leczy gdy ponownie się odwrócił dostrzegł, iż wróg wciąż jedzie, wciąż potrząsa swoją włócznią i nie widać by sterczała z niego strzała bądź zaczęła rozszerzać się czerwona plama. Zastanowił się, czyżby duchy były przeciwko niemu? Cóż jeszcze dziś się przekona. Daramończycy byli już bardzo blisko. Odwrócił się do Oszaba i wykonał kolejne kilka gestów. Starzec ponownie sięgnął po rożek i wydobył z niego serię dźwięków. Samnijczycy rozdzielili się na dwie grupy, po czym nagle wykręcili uderzając na rozpędzonych daramończyków z obu flanek. Lecz gdy wpadli między wroga, poczuli jakby zostali uderzeni przez chmurę pyłu. Przez chwilę stali zdezorientowani. Zapanowała cisza a wszystko wokół jakby zwolniło. Stali jakby w chmurze lub w bardzo gęstej mgle, dostrzegali tylko najbliższych towarzyszy. Nie było jeźdźca który nie pomyślał iż musiał właśnie zginąć, i zaraz jego oczom ukaże się Kraina Wiecznych Polowań. Po chwili z mgły zaczęły wynurzać się jakieś konne postacie. - Przodkowie - pomyślał Uter. Leczy gdy ci nie zwolnili a w ich rękach pojawiły się ciężkie dakońskie lance, do samnijczyków w końcu doszło co się stało. Pułapka. Nieczyste duchy którymi władają wergundzcy szamani, sprowadziły ślepotę na ich oczy i głuchotę na ich uszy. Nie podążyła za nimi pięćdziesiątka daramońskich konnych wojów. Podążyła za nimi setka ciężkiej, dakońskiej jazdy. A teraz te duchy otoczyły ich i nie pozwalają im dojrzeć gdzie strzelają. Wierny Oszab wiedział co jego pan chciał by zrobił. Z jego rożku wydobył się kolejny dźwięk a w rękach koczowników błysnęły szable, jatagany i długie zaostrzone kije.

Uter już wiedział że tego dnia duchy były przeciwko niemu.

Kilku samnijczyków, ruszyło z wrzaskiem na wroga, na ich czele Tarhantia wyraźnie dostrzegł plemienny buńczuk. Oszab. Otrząsnął się i ruszył najszybciej jak potrafił, ale nie był dość szybki. Zobaczył jak szarża dakończyków przejeżdża nie powstrzymana przez tłum jego rodaków, nie pozostawiając za sobą nikogo żywego. A teraz żelazna fala pędziła prosto na niego. Każdy samnijczyk umiał jeździć bez trzymania cugli. Nawet on, który przecież tak krótko żył w ojczyźnie w czasach pokoju. I już nigdy więcej go nie zazna. W jednej ręce wciąż trzymał szablę, drugą wyjął jatagan. I ruszył. Z naprzeciwka pędził na niego jeden z wielu, anonimowych wergundzkich żołnierzy. Zakrwawiona lanca celowała prosto w uzdrowiciela. Uter szybko odchylił się w siodle, przez co ostrze przeszło bokiem ale wergund był sprawniejszym wojownikiem. Szybko zmienił chwyt i grzmotną samnijczyka drugą stroną lancy. Uterowi wydawało się że spada z konia, ale chwilę potem przestało mu się wydawać cokolwiek.

Z wolna otworzył oczy. Leżał na plecach a obolała twarz i słony smak w ustach pozwalały mu sądzić że nadal żyje. Ale nic nie słyszał, niczego nie dostrzegał. Żadnej wojny, żadnej bitwy, żadnych wergundów, także żadnej mgły, bo wpatrywał się w czyste, ale zimne i niewzruszone błękitne niebo. A za nim, Kraina Wiecznych Polowań, szczęśliwych polowań, wynagrodzenie za wszelkie zło tego świata. Zamknął oczy i miał przy tym wrażenie jakby podjął ogromny wysiłek. Tak bardzo chciałby teraz tam być! Jakieś krzyki wyrwały go z tego letargu. - Oszab? To ty? - wyszeptał. Nie. Oszab był martwy. Ktoś przytknął mu do ust jakąś zachodnią gorzałkę. Zakrztusił się i otworzył oczy. Stał nad nim jeden z jego żołnierzy, w ręku trzymał dakoński bukłak a z każdą chwilą wypowiadane przez niego słowa stawały się coraz wyraźniejsze. - Radny Tarhanito, musimy natychmiast jechać. Radny Uterze proszę! - Uter otrząsnął się - Oszab... gdzie jest Oszab? - potrafił tylko wyartykułować. - Nie żyje radny Tarhanito. Ale ktoś krzyczał że udało mu się odzyskać buńczuk. Dakończycy zaraz się przegrupują, musimy jechać! - Uter poczuł jak gorzałka i gniew z powodu śmierci Oszaba dodają mu sił. Wstał i wspiął się na stojącego opodal, wiernego bachmata. Jakby przez mgłę widział wokół ludzi i konie, świszczące strzały i drących się dowódców. Już po chwili oboje pędzili w kierunku którego nie był w stanie teraz określić. - Co się stało? Dlaczego żyjemy? - spytał drugiego samnijczyka. - Sam nie wiem radny Tarhanito. Myśleliśmy że to już koniec aż nagle mgła po prostu się rozwiała. Muszę przyznać że dakończycy byli znacznie bardziej zdziwieni niż my. Zaczęli się przegrupowywać do kolejnej szarży a wtedy ja szybko radnego zabrałem i wszyscy uciekliśmy. - Uter rozejrzał się. Rzeczywiście, równolegle do nich jechało kilka grupek zakrwawionych samnijczyków. Wielu z nich jechało pochylonych w siodle, inni uciskali liczne rany. Ale ogólnie straty nie były aż tak wielkie. Pytanie tylko ilu z nich dożyje jutra. Gdy byli już w znacznej odległości odwrócił się i popatrzył na pole bitwy. Rzeczywiście, po mgle nie został żaden ślad. W obniżeniu zrezygnowani dakończycy ustawiali się w szyk by wrócić do głównej kolumny. Coś przykuło uwagę Utera na wzgórzu za nimi. Sylwetka starca wspierającego się na kosturze. Oteola? Nie, Oteola zginął będąc znacznie młodszym. A był pewien że w okolicy nie pozostał żaden żywy samnijczyk. Zasępiony dołączył do reszty ocalałych. Oszab i prawie dwa tuziny innych rodaków poniosło śmierć w tej walce. Ale z południa przyszły dobre wieści. Jag-bej Vurunów nie opanował swego temperamentu i prowadzi na pomoc oddziałowi Tarhanity wielu spośród tych którzy nie zdecydowali się jechać za pierwszym razem. Uterowi niezbyt się to podobało, ale ostatecznie cieszy go to, gdyż bez tych uzupełnień nie możliwe by było kontynuowanie walki. Jutro połączą jaghany z Vurunitą i będąc walczyć dalej. Ale dziś jest czas by leczyć rany i wyciągnąć wnioski.

A gdy nadszedł zmrok, zza tamtego wzgórza wzniósł się biały księżyc.